

Nie pijmy za błędy

Odkrycie najstarszej mapy Ameryki Północnej, pochodzącej z 1440 roku, dowodzi, że już 52 lata przed wyprawą Krzysztofa Kolumba ktoś nie tylko Amerykę widział, ale ją nawet naszkicował. Mapę o nazwie Vinilanda Insula, zakupioną pół wieku temu od jakiegoś szwajcarskiego notariusza, uważano powszechnie za falsyfikat, ale nie przestawano jej badać, wykorzystując coraz to doskonalsze naukowe metody. Dziś nie ma już wątpliwości, że to dawni wikingowie jako pierwsi Europejczycy poznali obecną Amerykę, potrafili o niej opowiedzieć i nakreślić na mapie. My jednak nadal będziemy powtarzać, jak ze szkolnej czytanki, że odkrycia dokonał Kolumb. I niech tak pozostanie, bo nie ma w tej historii niczyjej krzywdy. Gorzej, gdy mylą się filozofowie.

W minionym tygodniu na Wojskowych Powązkach pożegnano z honorami prof. Leszka Kołakowskiego. Trumnę przetransportował z Anglii specjalnie wynajęty na koszt polskich podatników samolot CASA. Tymczasem, jak podawały dzienniki, na prośbę rodziny ceremonia pożegnalna została zaplanowana skromnie. Najwidoczniej był to gest rządu wobec dokonań wielkiego filozofa, marksistowskiego rewizjonisty i opozycjonisty, który swoją karierę zaczynał całkiem rewolucyjnie, bo i z czerwoną książką, ale i z pistoletem w ręku. We wczesnych latach PRL-u młodym marksistom na Uniwersytecie Warszawskim nie wystarczała dogłębna wiedza o bolszewickiej partii i materializmie dialektycznym. Dobrze było za zgodą UB trzymać w kieszeni

nabitego Waltera. Tak przejawiała się wtedy ta prawdziwa, materialna rzeczywistość i podstawowy marksistowski dogmat walki klas. W razie zagrożenia życia naciśnięcie cyngla eliminowało niepożądaną antyrewolucyjną rzeczywistość i całkiem realny, choć nie tolerowany obcy ludzki byt. Droga, jaką przechodził Leszek Kołakowski od negacji Boga i potrzeby istnienia religii, tego „opium dla mas”, do jej rzeczowej afirmacji, jako podstawy filozofii, była długa, ale jak to się mówi w przypadku wielkich uczonych, „twórcza”. Szkoda tylko, że dokoła wciąż widać zgliszcza.

Uniwersytety, których sercem były wydziały teologiczne i filozoficzne, tworzone przez Kościół w celu trudnego poszukiwania związków między wiarą a rozumem, o czym nikt dziś nie chce pamiętać, zamieniły się we wszechnice wszelkiego lewactwa. Powstała szeroka i pełna przekonania o swoich dziejowych wartościach europejska formacja lewicowych intelektualistów, z których najwybitniejsi, jeśli będą tylko chcieli, przejdą jak Kołakowski metamorfozę życia i skończą, negując Marksa. Matka Karola Marksa dobrze wiedziała, co mówi, gdy przypomniała jeszcze młodemu Karolowi, by ten kapitał lepiej robił, niż go pisał.

Zachodni lewicowi intelektualiści zapatrzeni w Lenina, Marksa, Mao Zedonga, którzy wyhodowali potem Pol Pota i innych zbrodniarzy nadal marzą o komunizmie i stale walczą z Bogiem. A skoro Boga nie ma, to nie ma miejsca dla Jego ziemskich namiestników, w tym największego „reakcjonisty”. Tak rok temu

zamknięto drzwi przed papieżem Benedyktem XVI na największym uniwersytecie rzymskim La Sapienza.

Ale Kościół jest wspaniałomyślny. Szczególnie upodobał sobie błądzących. Dla nich zawsze znajduje miejsce, także po śmierci, jak dla Czesława Miłosza znaleźli wieczne schronienie w Krakowie na Skałce (dla najwybitniejszych Polaków) ojcowie paulini. Poeta nie był ani narodowy, ani katolicki, ani polski, (wielokrotnie mówił, że jest Litwinem), ani wielki. Miłosz został uznany za wielkiego, bo stał się noblistą, a poza tym tak postanowiły „elity”.

Miłosz błądził tak dalece, że ślady jego błędzenia odcisnęły się na następnych pokoleniach Polaków. Czym bowiem jest wypowiedź Donalda Tuska z 1987 roku, że „Polska to nienormalność”, jak nie echem podobnej „refleksji życiowej” Miłosza, którą przedstawił w swojej twórczości tuż po wybuchu Powstania Warszawskiego. „Gotów byłem twierdzić, przyznaję się szczerze, że nad tym właśnie kawałkiem Europy ciąży przekleństwo (...) gdyby mi dano sposób, wysadziłbym ten kraj w powietrze”. Cała poetycka para poszła w jakieś samobiczowanie, ale nie siebie, nie naszych wrogów, tylko „tego” kraju. Chyba też Miłoszowi zawdzięczamy, że zaimek wskazujący „ten”, tak często używany przez nasze „elity” odnosi się do Polski, naszej Ojczyzny. To tak jakby samousprawiedliwiająca się tendencja sytuowania się w stosunku do własnego kraju i jego problemów z pozycji emigranta, osoby jedynie mówiącej po polsku, która raz czuje się Litwinem, raz

Żydem czy Białorusinem. Rzeczywiście Rzeczpospolita Polska
była kiedyś takim krajem, wielonarodowościowym,
wielokulturowym, ale w I RP dominowała Korona, i to była ta
prawdziwa Polska, podobnie jak prawie cała II RP.

Ludzie notorycznie się mylą, ale trudno im się do tego
przyznać. Na końcowe „mea culpa” trzeba czasami całego życia,
a ilu Bogu ducha winnych ludzi musi przez ten czas, za te
wszystkie kręte drogi zapłacić, tego nikt oczywiście nie wie.

Wojciech Reszczyński

„Nasza Polska” 04.08.09